

wspomniał dyrektora banku i z westchnieniem żalu zwrócił się w stronę rynku.

Wszedł w hałaśliwą, brudną ulicę Grodzką. Na wąskim chodniku z trudnością wymijał licznych żydów, w długich, zabłoconych chałatach, z pejsami, starannie skręconymi, z rozognionemi rozmową twarzami. Stawali oni co chwila po dwóch, po trzech na chodniku, szwargocząc ze sobą zawzięcie, gestykulując rękami, głową, całym ciałem.

Jeden z przechodniów, bardziej krewki, zawołał gniewnie:

— Ustąpcie się, zawaliliście drogę — a gdy to nie pomogło, dotknął ramienia jednego z żydów, wołając: — na bok!

— Ny, co to jest? Czy tu nie ulica? Czy mi stać nie wolno?

— A wciórności! — zaklął i przesunął się obok.

Zdziwiło to Romana, przyzwyczajonego do uprzejmości i ustepliwości żydów w Warszawie, nie wiedział bowiem, że tutaj cieszą się oni względami władz rządowych i autonomicznych Galicyi ze względu na poważną rolę pieniężną i wyborczą.

Nie zastanawiał się jednak nad tem długo, gdyż zainteresowały go boczne ulice, z których każda kończyła się oryginalnie, jakimś budynkiem, uderzającym starożytną architekturą, lub miała w perspektywie zieloność drzew.

Rynek w jasnym świetle pogodnego dnia wydał mu się nie tyle mniej ładnym, jak zaśmieconym, brudnym i zaniedbanym. Z pewnym trudem przecisnął się przez czarną giełdę i lichwiarzy, stojących przy wylocie ulicy Grodzkiej.

Wszedł do starej, poważnej kamienicy z piękną attyką renesansową, lecz dom ten od frontu był pokostowany blichtrzem banalnych ozdób, przeniesionych żywcem z banków zagranicznych.

W obszernym przedpokoju oświadczył mu lokaj w liberyi bankowej:

— Pan dyrektor zajęty. Jest właśnie pan hrabia u niego.

— Zaczekam — mruknął Roman, a lokaj, zdjawszy palto z niego, wpuścił go do poczekalni jasnej, w której zastał dwóch panów, oczekujących na przyjęcie u dyrektora. Siedzieli na wyścielanych fotelach, a jeden z nich, z rysami wybitnie semickimi, nie tracąc czasu, pilnie przeglądał notatnik i papiery, które jak u siebie w domu rozłożył na stole przed kozetką.

Zaczął się nudne wyczekiwanie. Nagle drzwi od gabinetu otwarły się z trzaskiem i pierwszy wyszedł nie dbałym krokiem szpakowaty pan, z twarzą pomarszczoną, z opuszczoną dolną wargą. Za nim szedł w ukłonach niski, tysawy człowiek, z małym wąsikiem przyszyty, cały rozjaśniony.

— Pan hrabia może liczyć na mnie, zrobię wszystko, ażeby interes przyszedł do skutku.

— Dobrze, panie dyrektorze — skinął głową — wracając z Wiednia, wstąpię do pana.

— Spodziewam się, panie hrabio, że będę miał dobre wiadomości.

Dyrektor odprowadził gościa do przedpokoju i pomógł ubrać palto.

Dwaj interesowani w poczekalni z chwilą otwarcia drzwi gabinetu i wejścia hrabiego, posłuszni swemu instynktowi serwilizmu, zerwali się z miejsc i wzrokiem pełnym szacunku i podziwu przeprowadzali hrabiego i dyrektora do przedpokoju.

Semita pokręcił kędzierzawą głową i szepnął:

— *Ein reicher Graf.* — A chcąc podkreślić, dodał: — to bogacz! — i zwilżył spiekłe wargi językiem.

Dyrektor wyprostowany, dumny i poważny wracał. Spojrzał na dwóch kłaniających mu się panów, zmierzyl oczyma Romana, siedzącego pod oknem i skinawszy na pana z rysami semickimi, wszedł do swego gabinetu.

Przyszła wreszcie kolej na Romana. Wszedł do pokoju, oświetlonego dwoma oknami, umeblowanego zbyt kłótnie, po hotelowemu, z portyerami, firankami, dywanami, z lustrem i z potretem jakiegoś udekorowanego pana w poważnym wieku.

Dyrektor siedział przy biurku, trochę zwrócony w stronę drzwi od poczekalni i na ukłon Romana odpowiedział lekkim skinieniem głowy. W rękę

trzymał bilet wizytowy, a założywszy monokl, odczytał głosem obojętnym:

— Roman Czajkowski... czego pan sobie życzy?

— Przychodzę do pana dyrektora od pana radcy Kotyrskiego — podał bilet.

Dyrektor odczytał, rzucił przelotnie okiem na stojącego Romana i wkładając bilet w rozciętą kopertę, rzekł:

— Proszę... siadaj pan... Ma pan jakie studia i kwalifikacje?

— Skończyłem szkołę handlową... byłem sekretarzem dyrekcyi...

— Czy wiedeńską szkołę?

— Nie, warszawską.

— A... pan Królewski? — bacznie spojrzał — czy wyjazd dobrowolny, czy przymusowy?

Wobec kategorycznego pytania wydało się Romanowi kłamstwo tak brzydkiem, że zaczerwieniony odpowiedział:

— Kazano mi wyjechać.

— A!... kazano?! Był pan wmieszany w jaką sprawę?



— Roman Czajkowski — czego sobie pan życzy?

— Nie, tylko podejrzany.

Dyrektor wziął znów bilet polecający do ręki i bawiąc się nim, spytał:

— Więc pan siostrzeniec radcy Terlikowskiego?

— Tak jest.

— I był pan sekretarzem dyrekcyi?...

Roman wymienił nazwisko właściciela fabryki.

— Tak, znam tę firmę z Berlina... że też wam się chce wytwarzać takie zaburzenia, niepokoje, strajki — westchnął i mówił tonem ojcowskiego upomnienia: — to przecież ruina handlu i przemysłu, podkopanie i utrata kredytu... to, panie, zastój ekonomiczny.

— Warunki bytu naszego były jednak tego rodzaju... — zaczął Roman.

— Warunki!? — uśmiechnął się dyrektor ironicznie — gdy jest chleb, wszelkie inne warunki znieść można.

— Jak kto, jak kiedy — powiedział zimno Roman.

— Wracając do rzeczy... ile pan brał miesięcznie gaży, jako sekretarz?

— Dwieście rubli.

— Hm... ładny grosz... U nas w Austrii, a cóż dopiero w Galicyi, człowiek z kwalifikacyami pana takiej sumy nie dostanie. Jakie są wymagania pana?

— Nie znam tutejszych stosunków.

— Hm... U nas taki sekretarz, o ile jest biegły w interesie, dostaje od 100 do 200 koron, bo u nas, panie, są wysokie wymagania od urzędników i my prowadzimy interesu nie na taką skalę, jak w Rosyi.

— Moje wymagania są skromne, rozumiem, że wprawdzie muszę dać się poznać.

— No, tak — otworzył szufladę biurka, wyjął elegancki notatnik, przerzucił kilka kartek i podnosząc notatnik w górę, mówił — tu, panie, spisuję kandydatów na posady bankowe. Uprzedzam pana, że wciągamy tylko ukwalifikowanych i tylko takich, których mi polecają moi przyjaciele i znajomi, godni zaufania... Do takich zaliczam też pana radcę Kotyrskiego, a ponieważ on pana poleca, wierzę na ślepo, iż pan posiada doskonałe kwalifikacje... wpisuję tedy — sięgnął po ołówek — może poda mi pan swój adres.

Roman wymienił ulicę i numer domu.

— Pan sam mieszka?

— Nie, z matką i siostrą.

Dyrektor skończył zapisywanie, a Roman powiedział uprzejmie:

— Może pan dyrektor zechce obaczyć moje świadectwa?

— Na świadectwa przyjdzie czas, gdy będziesz pan miał objąć posadę, a to nie nastąpi tak prędko... Pan jesteś z kolei dziewiątym kandydatem.

— Tak!? — spochmurniał Roman — kiedyż mogę mieć nadzieję posady?

— Hm... kiedy? Może który z podwładnych opuści bank, może zachoruje lub zostanie wydalony, wówczas otworzy się posada.

— Więc to może potrwać rok i dłużej — rzekł Roman nie bez gorczy.

— Nie wiem — wzruszył dyrektor ramionami — ale dam panu dobrą radę.

— Słucham.

— Zwróć się pan do fabryk, kantorów głównych, nie płacą tak, jak my, ale zawsze jest zarobek. My, panie, płacimy praktykantowi siedmiesięć koron miesięcznie, ale też wymagamy rzetelnej pracy — spojrzał na Romana, oczekując co najmniej uznania dla hojności banku. Roman jednak przyjął to wyznanie obojętnie, wstał i skłonił się.

Dyrektor wyciągnął rękę na pożegnanie i uśmiechając się przyjaźnie, powiedział:

— Jak pan widzi, zrobiłem, co można, wpisałem pana — uderzył w notatnik — i może mi się uda dać panu posadę, co ucieszyłoby mnie szczerze ze względu na pana radcę Kotyrskiego i pana radcę Terlikowskiego, którego nie znam osobiście, ale mam głęboki szacunek dla niego.

Wyszedł od dyrektora, a idąc do hotelu, rozmyślał o dniu dzisiejszym z pewną gorącością. Rozumiał dobrze, że tak Kotyrski, jak i dyrektor, przyjęli go ze względu na wujka. Okazali mu jednak wyraźnie, że ani myślą brać na seryo jego starań o posadę i radzi są, że pozbyli się go bardzo

wątpliwą obietnicą.

Spojrzał na zegarek, było już po pierwszej, więc prawdopodobnie matka z Ireną, jak było umówione, czekają na niego w hotelu. Czy jednak powiedzieć matce, że prawie niema nadziei otrzymania posady? Ona zmartwi się i zacznie oszczędzać na sobie. Już teraz, wymawiając się brakiem apetytu, je tylko zupę i jakąś jarzynę na obiad, a gdy zniknie nadzieja posady, na którą tak liczyła, wzrośnie jej oszczędność. Zresztą, czy tak bardzo minie się z prawdą, gdy powie, że w banku dostanie później posadę, jeśli opróżni się miejsce. Wyglądził więc czoło i ze zwykłą swobodą wszedł do numeru.

— Cóż, Romciu, masz posadę?

— Prawdopodobnie dostanę, ale później. Na razie niema wolnej posady w banku.

— Czy jednak obiecał dyrektor?

— Obiecał, skoro będzie miejsce.

— To już dobrze — uśmiechnęła się — czekasz może miesiąc, może sześć tygodni, ale nie zostaniesz bez zajęcia.

— Tak, mam.

(Ciąg dalszy nastąpi).